

**A.J.
Quinnell**



**Niebieski
Kartel**

Tytuł oryginału: *The Blue Ring*

Copyright © 1993 by A.J. Quinnell

Copyright © for the Polish edition by Espadon Publishing

Arie Books Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-57-4

Książka powstała jako wspólne przedsięwzięcie Wydawnictwa
AiB, Espadon Publishing Sp. z o.o. oraz Arie Books Sp. z o.o.

Niebieski kartel

PRZEKŁAD: JERZY ŻEBROWSKI

ARIE BOOKS
WARSZAWA 2021

PROLOG

Otworzywszy oczy Hanne Andersen nie wiedziała, gdzie jest. Bardzo szybko odzyskiwała jednak przytomność. Czuła w głowie tępy ból, a w ustach cierpki smak. Nie mogła poruszyć ręką ani nogą. Nad sobą miała popękany, brudny sufit. Obróciła obolałą głowę, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Znajdowała się w niewielkim, prostokątnym pomieszczeniu, w którym nie było okien, tylko ciężkie szare metalowe drzwi. Skrępowano jej przeguby i kostki, przywiązując je do czterech rogów łóżka. Miała na sobie tę samą jaskrawoczerwoną sukienkę, którą włożyła poprzedniego wieczoru. Czuła paraliżujący strach, próbując przypomnieć sobie, co się stało.

Pamiętała, że Philippe zabrał ją z hotelu do jakiejś hałaśliwej restauracji i że sporo tam wypila, najpierw wina, a potem tequili. Dalsze wspomnienia były już mgliste: zaliczyli dwa kolejne bary i jakiś nędzny nocny klub przy Rue Saint Sans. Pamiętała, jak oboje bez przerwy się śmiali, oglądając sex-show, który przyprawiał ją o mdłości, ale i podniecał. Co działo się później, nie miała pojęcia.

Dopiero po godzinie usłyszała trzask zamka w metalowych drzwiach. Do pokoju wszedł Philippe. Stał obok łóżka, patrząc na nią z góry. Miał na sobie ten sam, co poprzedniego wieczoru, ciemnoniebieski garnitur, białą jedwabną koszulę i brązowy krawat, ale marynarka była wygnieciona, a krawat nie dbale poluzowany. Jego niezwykle atrakcyjną twarz pokrywał czarny zarost.

– Gdzie ja jestem, Philippe? – zapytała Hanne chrapliwym głosem. – Co się stało?

W jego oczach nie było już wesołości, a na twarzy pojawił się szyderczy uśmiech.

Zmierzywszy dziewczynę wzrokiem podciągnął do góry jej czerwoną sukienkę. Miała pod spodem bardzo wąskie białe koronkowe majteczki. Spojrzał na nie i mruknął coś po francusku. Zrozumiała jego słowa, choć uczyła się tego języka dopiero od dwóch miesięcy.

– Szkoda... Wielka szkoda... No cóż, trzeba słuchać poleceń – powiedział, znów uśmiechając się drwiąco. – Ale na małe co nieco można sobie pozwolić.

Wsunął rękę pod gumkę majtek, dotykając jej krocza. Próbowała zacisnąć nogi, ale były zbyt mocno skrępowane. Zaczęła krzyczeć.

– Możesz wrzeszczeć, ile chcesz – stwierdził. – Nikt cię nie usłyszy.

Gdy próbował wepchnąć głębiej palec, dziewczyna w mimowolnym odruchu opróżniła pęcherz. Mężczyzna z obrzydzeniem cofnął rękę, wyprostował się i wyszedł z pokoju. Po pięciu minutach wrócił z metalową tacką, na której leżała strzykawka, trochę waty i butelka z bezbarwnym płynem. Położył tackę obok głowy dziewczyny i usiadł przy niej. Podciągnawszy szybko rękaw jej sukienki otworzył butelkę, zmoczył watkę płynem, potarł nią energicznie ramię dziewczyny i uniósł strzykawkę.

– Spójrz – wyszeptał nieprzyjemnym głosem. – To twoja przyjaciółka. Dzięki niej dobrze się poczujesz... Nawet bardzo dobrze. Pozbawi cię strachu i bólu głowy. W najbliższych dniach będzie cię często odwiedzała.

Dziewczyna wzdrygnęła się, gdy igła wniknęła w jej żyłę. Zaczęła znowu krzyczeć, a mężczyzna ponownie szyderczo się uśmiechnął. W ciągu kilku minut jej ciało i umysł ogarnęło uczucie przyjemnego ciepła. Zniknął ból głowy i strach. Głos mężczyzny docierał do niej jakby spod sufitu.

– Przyjdzie tu zaraz kobieta, żeby cię umyć. Przyniesie ci gorącą zupę. Później do ciebie wrócę... z twoją przyjaciółką.

Biuro Jensa Jensena było również bardzo małe, pozbawione okien i wymagało odmalowania. Jako młody detektyw z wydziału osób zaginionych w kopenhaskiej policji nie zasługiwał na nic lepszego. Będąc niskim i dość pulchnym człowiekiem o rumianej twarzy, przypominał bardziej bankiera niż policjanta. Nosił tradycyjny szary garnitur, kremową koszulę z niebieskim krawatem i czarne buty ze skóry aligatora. Westchnął z irytacją, skończywszy czytać otrzymany rano raport policji z Marsylii. Potem ogarnęła go wściekłość. Zamknął skoroszyt, wstał i wyszedł na korytarz.

Gabinet nadinspektora Larsa Pedersena był przestronny, wyłożony dywanem, a z jego okien roztaczał się wspaniały widok na ogrody Tivoli. Nadinspektor – szczupły, szpakowaty mężczyzna o wyrazistych rysach – wyglądał jak najbardziej na policjanta. Gdy Jens Jensen wszedł nagle do jego pokoju, Pedersen podniósł wzrok i natychmiast zauważył wyraz twarzy swego podwładnego.

– O co chodzi tym razem? – zapytał.

Jensen położył przed nim bez słowa skoroszyt, po czym poszedł do okna i zaczął wpatrywać się w ogród.

Pedersen odbył niedawno kurs szybkiego czytania, dzięki czemu w ciągu zaledwie czterech minut zdołał zapoznać się z grubsza z treścią szczegółowego raportu.

– No i co? – zapytał, kiedy skończył.

Jensen odwrócił się do niego.

– To już czwarta dziewczyna w tym roku – stwierdził oschłym tonem. – Dwie zniknęły w Hiszpanii, jedna na francuskiej Riwierze i jedna w Rzymie. A mamy dopiero połowę maja. Zagięły też trzy Szwedki i dwie Norweżki... Wszystkie w krajach śródziemnomorskich. Żadnej nie odnaleziono. – W jego głosie brzmiał gniew. – Zawsze to samo: młode, samotne Skandynawki, które spędzały wakacje albo studiowały w tych krajach. – Wskazał na teczkę. – Hanne Andersen. Dziewiętnaście lat, bardzo atrakcyjna. Uczyła się francuskiego w prywatnej szkole w Marsylii. Ostatni raz widziano ją czwartego września o dziesiątej wieczorem, gdy wychodziła ze swego hoteliku i wsiadała do czarnego Renault. Za kierownicą siedział młody mężczyzna, wyglądający na Francuza – cokolwiek to znaczy. Tyle tylko wiemy.

Pedersen zamyślił się. – I wszystkie były atrakcyjne albo piękne, także te Szwedki i Norweżki? – zapytał.

– Tak – potwierdził Jensen. – Widziałeś raport i zdjęcia. I czytałeś moje zalecenia.

Pedersen westchnął i odsunął od siebie teczkę, jakby pragnąc się jej pozbyć.

– Tak, tak. Chcesz utworzyć specjalną jednostkę. Twoim zdaniem istnieje zorganizowany gang, handlujący żywym towarem.

Jens Jensen miał trzydzieści pięć lat. Wskutek porywczego temperamentu i nieumiejętności okazywania bezgranicznego szacunku przełożonym nie zrobił kariery w policji, rekompensował to więc sobie zamiłowaniem do egzotycznych gatunków piwa i fascynacją dalekomorskimi promami.

– Moim zdaniem! – wybuchnął, nie mogąc opanować wściekłości. – Od czterech lat pracuję w wydziale osób zaginionych. Jestem w kontakcie z policją w Sztokholmie i Oslo. Wydaję pieniądze na pieprzone podróże do Paryża, Rzymu i Madrytu. – Coraz bardziej zdenerwowany stanął naprzeciw biurka nadinspektora. – To ja nieszczęsny muszę mówić rodzicom tych dziewczyn, jacy jesteśmy cholernie bezradni. – Uderzył dłonią w teczkę z raportem. – Dziś po południu przyjdą do mo-

jego parszywego biura państwo Andersen, usiądą przy moim nędznym pięćdziesięcioletnim biurku i dowiedzą się, że ich córka zniknęła i jest już zapewne faszerowana narkotykami, a jakiś plugawy alfons handluje jej ciałem.

Pedersen znowu westchnął i rzekł spokojnie:

– Wiesz, Jens, na czym polega problem. Chodzi o pieniądze. W samej Kopenhadze zgłaszają nam co roku ponad czterysta zaginionych osób. Mamy ograniczone fundusze – i z roku na rok coraz mniejsze. Specjalna jednostka, którą chcesz utworzyć, kosztowałaby nas ponad dziesięć milionów koron rocznie. Komisja budżetowa się nie zgodzi. To nadmierny wydatek. Sprawa dotyczy tylko kilkunastu dziewcząt... Nie ma mowy.

Jens Jensen skierował się do drzwi, mówiąc przez ramię:

– A więc odeślę państwa Andersenów do komisji budżetowej. – W progu odwrócił się ponownie i spojrzał na szefa.
– Może wyjaśnią tym facetom, co myślą o ich funduszach...

1

Był upalny wrześnieowy wieczór, gdy ojciec Manuel Zerafa podjechał swym starym, sfatygowanym Fordem pod stojący na wzgórzu dom na małej śródziemnomorskiej wyspie Gozo. Wiekowy budynek stanowił dawniej część farmy. Z góry rozciągał się wspaniały widok na okolicę, a także na małą wyspę Comino i majestatyczną Maltę. Pocąc się nieco ojciec Zerafa pociągnął za starą metalową rączkę dzwonka, umieszczoną w solidnym kamiennym murze. Po chwili otworzyły się drzwi i stanął w nich barczysty mężczyzna o krótko przyszytych szpakowatych włosach i kwadratowej twarzy. Sprawiał wrażenie człowieka, który sporo przeżył. Na policzku, podbródku i z prawej strony czoła miał podłużne blizny. Był tylko w kąpielówkach. Jego potężne, muskularne i mocno opalone ciało również poznaczone było bliznami: jedna biegła od prawego kolana niemal do pachwiny, druga od prawego ramienia do pasa. Ojciec Zerafa dobrze znał tego człowieka. Wiedział, że ma szramy również na plecach i że brakuje mu kawałka małego palca u lewej ręki. Wiedział, skąd wzięły się niektóre z tych blizn. Przeżegnał się w myślach.

– Cześć, Creasy – powiedział. – Cholerny upał. Muszę się napić zimnego piwa.

Mężczyzna cofnął się i gestem zaprosił go do środka.

Usiedli pod bambusowym daszkiem, oplecionym winoroślami i mimozą. Przed sobą mieli basen z wyglądającą kusząco chłodną, błękitną wodą. Za nim rozciągała się przepiękna panorama. Ojciec Zerafa uznał, że choćby siedział tam i sto lat, nie zmęczyłby go nigdy ten widok.

Barczysty mężczyzna przyniósł dwie szklanki zimnego piwa i spojrzał pytająco na księdza. Byli starymi przyjaciółmi i ojciec Zerafa często wpadał do niego w upalne dni na piwo, tym razem jednak wizyta najwyraźniej nie miała kurtuazyjnego charakteru.

– Chodzi o Michaela – zaczął ksiądz.

– A co się stało?

Ojciec Zerafa wypił łyk piwa i rzekł:

– Wiem, że dziś jest czwartek i popłynął z Georgem Zammitem na Maltę. O której wróci?

Creasy spojrzał na zegarek.

– Powinien był zdążyć na prom o siódmej, więc będzie tu za pół godziny. Dlaczego pytasz?

– Chodzi o jego matkę.

Creasy był wyraźnie zaskoczony.

– Jego matkę?

Ksiądz westchnął, po czym oznajmił stanowczo:

– Tak, właśnie o nią. Jest w szpitalu św. Łukasza i umiera na raka. Zostało jej tylko kilka dni życia.

– I co z tego?

– Chce przed śmiercią zobaczyć Michaela – odparł ksiądz jeszcze bardziej zdecydowanym tonem.

– Dlaczego?

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Dzwonił do mnie ojciec Galea, który opiekuje się chorymi i umierającymi u św. Łukasza. Pytała go o syna. Chciała wiedzieć, czy jest nadal w sierocińcu. Powiedziała, że chce przed śmiercią zobaczyć jego twarz.

– Nie przyjrzała mu się nawet, gdy wydała go na świat – stwierdził Creasy lodowatym tonem. – Porzuciła go... Wiesz, jak było. Sam mi opowiadałeś.

– Owszem.

– Więc powtórz to jeszcze raz.

Ksiądz westchnął ciężko.

– Powtórz mi to, ojcze!

Ksiądz spojrział na niego i powiedział:

– Pewnej nocy ktoś zadzwonił do sierocińca sióstr augustianek na Malcie. Jedna z sióstr otworzyła drzwi i znalazła na progu przykryty płótnem koszyk. Zauważyła odjeżdżający samochód, a w nim mężczyznę i kobietę... Była to zapewne matka Michaela i jej alfons.

Milczeli obaj przez chwilę, patrząc w przestrzeń, po czym ksiądz dodał cicho: – Zrozum, Creasy. Muszę powiedzieć Michaelowi, że ona chce go widzieć. To mój obowiązek.

– Masz zobowiązania tylko wobec Michaela – odparł szorstko Creasy. – Wychowywałeś chłopaka w sierocińcu, dopóki go nie zaadoptowałem. Nie znał matki, ale obaj wiemy, że myślał o niej z nienawiścią. Była dziwką, którą bardziej interesowały pieniądze niż własne potomstwo. Wiesz, że Michael przeszedł piekło. Po co rozdrapywać rany?

Znów zapadła cisza. Ksiądz miał już pustą szklankę. Spojrzawszy na swego towarzysza rzekł:

– Przynieś mi jeszcze piwa. Jak wrócisz, wszystko ci wyjaśnię.

Mało kto ośmieliłby się odezwać do Creasy'ego takim tonem.

Przez dłuższą chwilę barczysty mężczyzna spoglądał na księdza, mrużąc ciemnoszare oczy, po czym wzruszył ramionami, wstał i poszedł do kuchni.

Mając przed sobą pełną szklanę piwa, ojciec Zerafa zaczął spokojnie mówić. Przypomniiał Creasy'emu, jak przed dwoma laty siedzieli razem na schodach kościoła, oglądając mecz piłki nożnej między chłopcami z sierocińca i z miasteczka Sannat. Michael miał wtedy siedemnaście lat i był najzdolniejszym i najsukuteczniejszym graczem na boisku. Ojciec Zerafa prowadził sierociniec i szkolił młodych piłkarzy. Creasy obserwował uważnie mecz i pytał o Michaela. Bardzo się nim interesował. Ksiądz wyjaśnił, że jego matka była prostytutką w Gzirze, maltańskiej dzielnicy rozpusty. Ojcem Michaela był jeden z jej klientów, zapewne Arab, po którym chłopak odziedziczył ciemną karnację. Dziecko zostało porzucone zaraz po urodzeniu i trafiło do sierocińca w Gozo. Dwie próby adopcji nie powiodły się. I nagle Creasy, zobaczywszy chłopca podczas meczu, zdecydował się go usynowić. Ojciec Zerafa był zdumiony, gdyż zaledwie kilka miesięcy wcześniej żona i czteroletnia córka Creasy'ego zginęły wskutek wybuchu bomby w samolocie PanAm nad Lockerbie.

Creasy był niegdyś najemnikiem, podobno najlepszym w branży. Ksiądz wiedział, że adoptując Michaela chciał w cyniczny sposób przywiązać go do siebie i wyszkolić po swojemu. Aby to osiągnąć, musiał zawrzeć fikcyjne małżeństwo z podrzędną angielską aktorką, którą potem zabili terroryści. Creasy i Michael osobiście ją pomścili. Wtedy właśnie powstała między nimi najsilniejsza więź, jaka tylko może łączyć dwie ludzkie istoty.

Ksiądz przypomniiał Creasy'emu to wszystko, nie pomijając własnego udziału w załatwieniu adopcji, choć wiedział, co się za nią kryło. Obserwował, jak Creasy zmienia Michaela w sprawną maszynę do zabijania. Czekał na nich, gdy udali się na Bliski Wschód, aby dokonać zemsty. Dostrzegał łączącą ich po powrocie na Gozo niezwykłą zażyłość.

– Michael jest już mężczyzną – stwierdził spokojnie ojciec Zerafa. – To twoja zasługa. Musi teraz podjąć decyzję. W dzieciństwie decydowałem za niego ja, a w młodości ty. Tym razem niech sam coś postanowi.

2

– Poznaję panią – powiedział Michael. – Siedziała pani zawsze na murze.

Kobieta uśmiechnęła się. Był to uśmiech mumii. Michael wiedział, że ma dopiero trzydzieści osiem lat, ale wyglądała na staruszkę. Po wielu tygodniach chemioterapii straciła wszystkie włosy. Pod zapadniętymi żółtymi policzkami widać było rozpiętą na kościach skórę. Rozpoznał jednak tę twarz, którą w dzieciństwie widywał niemal co tydzień. Była wtedy piękna, okolo- na długimi i lśniącymi czarnymi włosami. Z najmłodszych lat pamiętał twarz młodej kobiety, niemal dziewczyny. W miarę, jak dorastał, starzała się, ale wciąż pozostawała piękna. Teraz przypominała śmiertelną maskę.

– Siedziała pani na murze – powtórzył w zadumie. – W każdą niedzielę. Kiedy o jedenastej szliśmy do kościoła, widzieliśmy panią zawsze po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko sierocinca. Gdy po godzinie wracaliśmy, jeszcze pani tam była. Wyglądaliśmy często przez okno, zastanawiając się, kim pani jest. Dokładnie o wpół do pierwszej odchodziła pani zawsze w kierunku portu.

Kobieta znowu się uśmiechnęła.

– Tak, o pierwszej odpływał prom.

– Po co pani przychodziła?

– Żeby zobaczyć mojego syna... Patrzeć, jak rośnie.

– Czemu pani ze mną nie rozmawiała?

– Nie mogłam. Oddałam cię pod opiekę księżom i nie mogłam już odebrać.

– Dlaczego pani to zrobiła?

– Nie miałam wyboru. Żadnego.

Michael przysunął krzesło, aby być bliżej umierającej kobiety, i rzekł ostrym tonem:

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani nie miała wyboru!

3

Przy grobie stały dwie prostytutki, stary przygarbiony ksiądz i Michael. Dwóch grabarzy w drelichowych spodenkach i brudnych białych podkoszulkach opuszczało trumnę w głąb mogiły. prostytutki przeżegnały się, ksiądz odprawił modły, a Michael rzucił na trumnę grudkę ziemi. Potem wszyscy się rozeszli. prostytutki wróciły do Gziry, ksiądz do swojego kościoła, a Michael na Gozo.

– Na mnie nie licz – oznajmił Creasy.

Siedzieli pod daszkiem z winorośli i mimozy, jedząc pikantną baraninę z curry. Creasy przyrządził ją przed dwoma dniami, zdążyła więc nabrać ostrego smaku właściwego tej specjalności hinduskiej kuchni. Na stole było także wiele innych potraw i, oczywiście, *papadamy*, smażone na oleju kruche krążki z chudego ciasta. Creasy był dumny ze swoich kulinarnych zdolności, a Michael z entuzjazmem z nich korzystał.

Schrupawszy *papadama* Michael włożył do ust kawałek banana, aby zneutralizować ostry smak curry, po czym rzekł:– Myślałem, że działamy wspólnie.

– Twoja matka była dziwką – powiedział Creasy. – Przyjmij to do wiadomości. Porzuciła cię w dzień po urodzeniu. Kobieta, która tak postępuje, jest dla mnie nikim.

– Nie miała wyboru.

– Wszystkie tak mówią.

Michael wypił łyk zimnego piwa. Creasy nie budził w nim lęku, choć był najtwardszym facetem jakiego kiedykolwiek znał.

– Sam mnie uczyłeś, co znaczy zemsta – rzekł. – I co znaczy sprawiedliwość.

Creasy westchnął.

– No, dobrze, więc powiedziała ci, że zmuszano ją do prostytucji, zrobiono z niej narkomankę i kazano oddać cię do sierocińca. To było dwadzieścia lat temu i nawet jeśli to prawda – w co wątpię – cóż możesz zrobić? prostytutki z reguły kłamia.

– Czy Blondie także? – zapytał cicho Michael, wpatrując się w talerz.

Creasy znowu westchnął i pokręcił głową.

– Nie, Blondie zawsze mówi prawdę. Jeśli ją zapytasz, powie ci, żebyś wybił sobie z głowy ten idiotyczny pomysł.

Michael skończył jeść curry i stwierdził jakby od niechcenia:

– Nawiasem mówiąc, mój ojciec był Arabem. To on zrobił z mojej matki narkomankę i prostytutkę.

– Ona ci to powiedziała?

– Tak, i dużo więcej. – Chłopak podniósł wzrok i spojrzał wyzywająco. – Przychodziła do mnie co tydzień. W każdą niedzielę. Siadała na murze naprzeciwko sierocińca i patrzyła, jak idę do kościoła, a potem wracam. – Michael nie potrafił ukryć wzruszenia. – Musiała bardzo cierpieć, nie mogąc ze mną porozmawiać.

– Była dziwką.

Głos Michaela stał się nagle ostry jak brzytwa.

– Blondie też była dziwką, a teraz prowadzi burdel. Ale jest twoją przyjaciółką i podziwiasz ją.

– Blondie to co innego.

Michael wstał, rozprostował się i zaczął zbierać talerze.

– Możliwe – stwierdził. – Ale jutro lecę do Brukseli, żeby z nią porozmawiać. Ma duże doświadczenie. Może coś wie i udzieli mi jakichś wskazówek.

– A może ci powie, żebyś nie był idiotą. Może zdoła ci wytłumaczyć, że są różne dziwki, a taka, która porzuca dziecko dzień po urodzeniu, nie zasługuje po dziewiętnastu latach na jego pamięć ani współczucie.

Michael rzucił mu wojownicze spojrzenie. Creasy zdał sobie nagle sprawę, że nie mówi do małego chłopca, lecz do dojrzałego nad wiek dziewiętnastolatka. Uświadomił sobie, że nie może mu pozwolić wyruszać samotnie na szaleńczą eskapadę. Przyszło mu także do głowy, że wykorzystywał przecież Michaela jako narzędzie zemsty, a w pewnym sensie sam go do tej roli przysposobił. W tym momencie powziął decyzję.

– W porządku, Michael – powiedział. – Skoro chcesz być idiotą i wypełnić ten rzekomy obowiązek, będę ci towarzyszył i trzymał cię za rękę.

Michael zareagował ze spokojem.

– Nie jesteś mi potrzebny – oznajmił. – Dobrze mnie wyszkoliłeś. Sam sobie poradzę.

Creasy wpatrywał się w chropowaty drewniany blat stołu. Przemówił tonem, który odzwierciedlał posępny wyraz jego twarzy.

– Posłuchaj, Michael. W pewnym sensie czuję się wobec ciebie winny. Byłeś pozbawiony dzieciństwa. Wyrwałem cię z sierocińca i wyszkoliłem na żołnierza. Miałeś wtedy siedemnaście lat. Powinieneś żyć jak każdy nastolatek, ale nie dano ci tej szansy. Teraz można by pomyśleć, że nie masz dziewiętnastu lat, tylko czterdzieści. Trudno, stało się... Nic na to nie poradzi-

my. Ale może chociaż pozwolisz, żebym pomógł ci zrealizować ten twój kretyński plan? Zresztą chętnie znowu zobaczę Blondie, Maxie i Nicole... No a tobie i Christine będę pewnie potrzebny jako przyzwoitka.

Michael uśmiechnął się do niego z sympatią.

– Jakoś nie wyobrażam sobie ciebie w roli przyzwoitki. Dobrze, Creasy, jedź ze mną... Ale pamiętaj, że to moja rozgrywka.

Creasy westchnął i skinął głową.

Wylądowali na lotnisku w Brukseli o ósmej wieczorem. Mieli tylko podręczny bagaż i w ciągu piętnastu minut przeszli przez kontrolę celną. Michael wyglądał na zdecydowanie więcej niż dziewiętnaście lat. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, krótko przystryżone kruczoczarne włosy, pociągłą twarz i szczupłą sylwetkę. Ubrany był w czarne dżinsy, rozpiętą pod szyją kremową koszulę i czarną skórzaną kurtkę pilota. Creasy szedł obok niego. Stawiał dziwnie nogi, zawsze dotykając ziemi najpierw zewnętrzną częścią stopy. Wyglądał jak niedźwiedź. Miał krótko ścięte szpakowate włosy i pociętą bliznami twarz koloru jasnego mahoni. Był w ciemnoniebieskich spodniach, jasnej bawełnianej koszuli, czarnym swetrze z kaszmiru i tweedowej marynarce. Patrząc tylko na ubiór tego człowieka można by wnioskować, że jest dobrze urodzonym ziemianinem z Anglii lub Szkocji. Ale rzut oka na jego twarz rozwiałby podobne przypuszczenia. Wyrażała ona bezwzględność i wojownicze usposobienie.

Gdy dotarli do postoju taksówek, Creasy przystanął nagle i głośno jęknął. Odwróciwszy się, Michael zobaczył na jego twarzy grymas cierpienia. Zdarzyło się to nie po raz pierwszy. W ciągu ostatnich miesięcy Creasy miał już kilkakrotnie takie ataki ostrego, krótkotrwałego bólu. Zawsze je lekceważył, mrużąc, że to tylko niestrawność.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Michael.

– Jasne, jedziemy.

Wsiedli do taksówki i Michael powiedział do kierowcy:

– „Pappagal”, przy Rue d’Argens.

Taksówkarz odwrócił głowę ze zdziwieniem.

– Wie pan, co to za miejsce?

– Tak, luksusowy burdel.

Kierowca wrzucił pierwszy bieg i ruszył z miejsca, mówiąc przez ramię: – Nie traci pan czasu.

Michael uśmiechnął się do Creasy’ego, a potem zaczął wyglądać przez okno, podziwiając widoki i wspominając swój po-

przedni pobyt w Brukseli przed prawie dwoma laty, gdy pokonywał taksówką tę samą trasę. Był wtedy z Creasym i Leonie. Na myśl o niej poczuł bolesny skurcz w żołądku. Kochał ją jak matkę. Pamiętał, że płakał rzewnymi łzami, gdy została zamordowana. Pamiętał, jak w pensjonacie Guida w Neapolu Creasy rzucił mu chusteczkę i powiedział beznamytnym głosem: „Otrzyj łzy. Jesteś już mężczyzną. Czas na zemstę”.

Pół godziny później znaleźli się przed niepozornym budynkiem, usytuowanym w bocznej uliczce zaledwie kilka przecznic od siedziby Unii Europejskiej. Michael nacisnął guzik dzwonka. Usłyszawszy, jak ktoś odmyka wmontowany w drzwi wizjer, wiedzieli, że są obserwowani. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły. Na progu stał Raoul. Był wysoki, kościsty, a jego ciemna twarz mogła przstraszyć nawet nie lada siłacza. Minął obu mężczyzn, wyjrzał ostrożnie na ulicę, po czym skinął głową. Creasy i Michael weszli szybko do wyściełanego pluszem i dywanami holu, postawili torby i przywitali się z nim.

– Jak długo zostaniecie? – zapytał Raoul.

– Parę dni – odparł Michael. Raoul wziął ich torby.

– Blondie jest w barze – oznajmił. – Zabiorę wasze rzeczy na górę.

Przeszli korytarzem i znaleźli się w pomieszczeniu o luksusowym wystroju. Był tam puszysty brązowy dywan, kryształowe żyrandole, wyłożone aksamitem ściany, niewielki mahoniowy bar oraz głębokie skórzane sofy i fotele, które zajmowały cztery bardzo piękne i elegancko ubrane młode kobiety. Przy barze siedziała natomiast zupełnie inna osoba: starsza dama w sięgającej do kostek złotej sukni z brokatu. Miała czarne jak heban włosy, na twarzy grubą warstwę makijażu, a w miejscu ust czerwoną kreskę. Jej uszy, szyję, nadgarstki i wszystkie palce zdobiły biało-niebieskie diamenty. Była w trudnym do określenia wieku, ale Michael i Creasy wiedzieli, że skończyła siedemdziesiąt lat.

Na ich widok rozchyliła w uśmiechu czerwone usta, ześlizgując się z barowego stołka, jakby była osiemnastoletnią dzierlatką. Objęła czule najpierw Creasy’ego, a potem Michaela, który poczuł jej sztywny gorset. Trzymając chłopaka na odległość ramion przyjrzała się jego twarzy, przesunęła mu dłoń po policzku i powiedziała po angielsku z wyraźnym włoskim akcentem:

– Wyładniałeś... Przedtem byłeś... po prostu przystojny.

Creasy chrząknął znacząco. Michael uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem, widząc zaciekawione spojrzenia czterech pięknych dziewcząt.

– Mały ruch w interesie – zauważył Creasy.

– Niewielki – odparła Blondie, przestając się uśmiechać.

– Ale jest jeszcze wcześniej. Czego się napijecie?

Kiedy usiedli na barowych stołkach, Creasy znowu jęknął, przykładając lewą rękę do piersi. Blondie i Michael spojrzeli na siebie.

– Co się dzieje? – zapytała ostrym tonem staruszka.

Creasy pokręcił lekceważąco głową. Blondie popatrzyła na Michaela, który stwierdził, wzruszając ramionami:

– Ma te ataki od kilku tygodni... Twierdzi, że to nic takiego, ale zdarzają się coraz częściej.

Beztroski nastrój natychmiast prysł. Blondie spoważniała i zaczęła mówić coś szybko do Creasy'ego po francusku. Ten niechętnie skinął głową. Michael nie rozumiał, o co chodzi, ale widział na twarzy Blondie gniew i niepokój. Zwróciła się nagle do niego, mówiąc po angielsku:

– Temu głupcowi, który udaje twojego ojca, zdarzało się to już przedtem. Ma w sobie tyle odłamków metalu, że starczyłoby go na zaopatrzenie całej fabryki konserw. Czasem te odłamki się przesuwają.

Była w tym momencie równocześnie matką, kochanką, szefową i huraganem. Strzeliła palcami, by Raoul podał jej telefon. Wykręciwszy numer, zaczęła mówić pośpiesznie do słuchawki. Creasy próbował protestować, zmierzyła go jednak spojrzeniem, które mogłoby zabić dinozaura. Michael przyglądał się temu ze zdumieniem. Blondie odłożyła słuchawkę i powiedziała do niego:

– Za kilka minut będzie tu karetka. Masz dopilnować, żeby Creasy do niej wsiadł, zaopatrzyć go trzeba w piżamę i wszystko, czego może potrzebować w szpitalu. Zajmie się nim znakomity chirurg z prywatnej kliniki. Są tam dobre warunki... i ładne pielęgniarki. Chirurg wydobędzie kawałek szrapnela, który toruje sobie drogę do serca tego kretyna. – Ponownie obrzuciła Creasy'ego piorunującym spojrzeniem. – Nie pojmuję, jak człowiek o twojej inteligencji i wiedzy medycznej może postępować tak głupio i nie dbać o swoje zdrowie.

Creasy chrząknął nerwowo.

– Wiesz, że nie cierpię szpitali.

Blondie uśmiechnęła się.

– Już ci powiedziałam, że ten jest wyjątkowy i są tam urocze pielęgniarki. – Zwracając się znów do Michaela, dodała nie

znoszącym sprzeciwu głosem: – Pojedź z nim i powiedz lekarzowi, żeby prześwietlił go od stóp do głów. Jeżeli znajdzie jakikolwiek odłamek, który należałoby wyjąć, niech zrobi to od razu.

Creasy znówu chrząknął i spojrzawszy na Blondie zapytał:

- Jesteś pewna, że ten facet zna się na swojej robocie?
- Podobno to jeden z najlepszych specjalistów w Europie
- odparła Blondie, obdarzając go słodkim uśmiechem.
- Musi cholernie się cenić – mruknął Creasy.

Uśmiechnęła się znówu i pokręciła głową.

– Pięć lat temu zmarła mu żona. Żeby ukoić żal dużo pracuje. Nie ma zamiaru ponownie się żenić, ale to mężczyzna z temperamentem. Przychodzi tu zwykle raz w tygodniu. Moje dziewczyny go ubóstwiają. – Wzruszyła ramionami jak typowa Włoszka. – On je także, na swój sposób... Ma na imię Bernard.

Bernard Roche był dobrym chirurgiem. Służył dziesięć lat we francuskiej armii i odbył praktykę w Algierii podczas wojny o niepodległość. Od razu poznał Creasy'ego.

Spojrząwszy na niego usiadł prosto i rzekł: – Był pan w 1. pułku spadochroniarzy Legii Cudzoziemskiej. Nastawiałem panu złamaną rękę. Jakies dwa tygodnie później wysadziliście w powietrze koszary i odmaszerowaliście z Zeraldy, śpiewając piosenkę Edith Piaf „Je ne regrette rien”.

Creasy popatrzył na niego podejrzliwie i stwierdził:

- Musiał pan wtedy nosić jeszcze pieluchy.

Chirurg uśmiechnął się.

– Dopiero co z nich wyrosłem. Miałem dwadzieścia trzy lata. Pan był już sławny. Kiedy zakładałem panu gips, trzęsły mi się ręce. Pański przyjaciel – Włoch o imieniu Guido – powiedział wtedy, że jeżeli nie poskładał pana jak należy, zakopie mnie po szyję w piasku i wytresuje wielbłąda, żeby przez następnych tysiąc lat sikał mi codziennie na głowę.

- Ręka dobrze się zrosła – powiedział z uśmiechem Creasy.
- Dokucza mi tylko dawna rana.

Chirurg wstał i rzekł do Michaela:

- Proszę pójść się czegoś napić i wrócić tu za godzinę.

Michael wypił pół butelki czerwonego wina w niewielkim bistro naprzeciwko szpitala, który wyglądał jak duży prywatny dom. Kiedy tam wrócił, zobaczył zatroskaną twarz doktora.

– Niewiele brakowało – powiedział chirurg. – Nasz bohater mógł umrzeć w ciągu tygodnia. Dlaczego tacy twardziele jak on tak bardzo boją się szpitali i lekarzy?

Michael wzruszył ramionami.

– Zoperował go pan?

Bernard pokręcił głową.

– Nie, zrobię to za jakieś dwie godziny. Proszę tu spojrzeć.

Podeszli do ściany, na której wisiały podświetlone zdjęcia rentgenowskie. Bernard wskazał pierwsze z nich. Była tam mała ciemna plamka.

– To odłamek granatu – wyjaśnił. – Pamiątka z bitwy pod Dien Bien Phu w Wietnamie, z początku lat pięćdziesiątych. Od trzydziestu lat toruje sobie drogę przez mięśnie w kierunku serca. Zauważyliśmy go w samą porę. – Wskazał plamę na kolejnym zdjęciu. – Tu jest odłamek pocisku... Zapewne z Kongo. Bardzo blisko śledziony... Też go wyciągnę. – Pokazał ciemne miejsce na następnej kliszy. – To stalowa szpilka, którą w Laosie jakiś włoski lekarz połączył jedną z kości ramienia z obojczykiem... Należało ją wyjąć po pół roku, ale najwyraźniej o tym zapomniano... Zrobię to teraz... Może trzeba będzie czymś ją zastąpić, ale okaże się to dopiero wtedy, gdy zobacze, jak zrosły się kości.

Michael słuchał go uważnie.

– Może nie warto jej ruszać? – zapytał.

Bernard pokręcił głową.

– Będzie z tego powodu cierpiał później na artretyzm. Lepiej od razu ją usunąć.

Michael uśmiechnął się jakby do siebie, po czym rzekł:

– Słusznie. Proszę załatwić wszystko od razu. Jak długo będzie musiał zostać w szpitalu?

– Co najmniej dziesięć dni – odparł Bernard po chwili namysłu. Michael skinął głową z zadowoleniem.

– To doskonale.

– Nie rób nic, dopóki stąd nie wyjdę – powiedział Creasy stanowczym tonem.

Michael wzruszył ramionami.

– W porządku. Zdobędę tylko trochę informacji i nieco się rozejrzę. Skoro co najmniej przez dziesięć dni będziesz ze wszystkiego wyłączony, nie ma sensu, żebym siedział na tyłku i nic nie robił.

Creasy popatrzył na niego podejrzliwie.

– Odłóż na razie tę swoją sprawę... póki nie wyjdę ze szpitala. Zorientuj się lepiej, co gryzie Blondie.

– Blondie? – zapytał Michael ze zdziwieniem.

Creasy przytaknął.

– Tak. Coś ją gnębi. Znamy się od wielu lat i wyraźnie to wyczuwam. Przypuszczam, że nic mi nie powie. Lubi być niezależna... Ale coś jest nie w porządku. Powiesz trochę i spróbuj się czegoś dowiedzieć.

Blondie uśmiechnęła się do Michaela znad kuchennego stołu i powiedziała:

– A więc Creasy przez kilka dni zostanie w szpitalu... Najwyższy czas. – Pochyliła się do przodu i zapytała konspiracyjnym szeptem: – Więc powiedz teraz, czego ode mnie potrzebujesz?

Michael wypił łyk wina i odparł:

– Chcę prosić panią o radę, a może i pomoc.

– Słucham.

Michael opowiedział jej całą historię. Znała ją z grubsza, bo sama brała udział w niektórych wydarzeniach, ale chłopak relacjonował szczegółowo wszystko od początku. Opowiadał, jak zaadoptował go Creasy i nieżyjąca już angielska aktorka Leonie, którą Blondie знаła i lubiła. Mówił o zemście na terrorystach, którzy podłożyli bombę w samolocie PanAm i o nienawiści do matki, która porzuciła go zaledwie dzień po urodzeniu, a teraz, umierając na raka, przekazywała przez ojca Manuela Zerafę wiadomość, że chce przed śmiercią zobaczyć twarz syna. Przyznał, że postanowił ją odwiedzić i zrelacjonował swą wizytę u leżącej na szpitalnym łóżku wyłysiałej, wyniszczonej chorobą kobiety. Tej samej, którą w dzieciństwie widywał co niedzieli na murze naprzeciwko sierocińca. Wyjaśnił na koniec, dlaczego owa kobieta musiała porzucić go tuż po urodzeniu, powiedział, co zamierza zrobić i ponownie poprosił przyjaciółkę Creasy'ego o radę i ewentualną pomoc.

Blondie siedziała przez chwilę zamyślona ze spuszczoną głową, a potem podniosła wzrok i powiedziała cicho:

– Ludzie, których szukasz, którzy zmusili twoją matkę, żeby cię porzuciła, to największe szumowiny na świecie. Działają już od dawna. Dziesiątki lat. Są potężni i dobrze ustosunkowani. Mają polityczne i finansowe wpływy w wielu krajach.

– Zna pani tych ludzi?

– Słyszałam o nich. Próbowali kiedyś robić ze mną interesy, ale ja nie zadaję się z takimi mętami. Nie muszę. Dziewczyny pracują dla mnie, bo tego chcą. Opiekuję się nimi, pilnuję ich pieniędzy, a gdy przychodzi pora dbam o to, żeby kończąc karierę były w lepszej sytuacji niż na początku.

– Jak Nicole? – zapytał.

– Właśnie – przytaknęła z powagą Blondie. – Odwiedzisz, oczywiście, ją i Maxiego... A także jej młodszą siostrę – dodała z uśmiechem.

Michael również się uśmiechnął.

– Oczywiście. Pójdę do nich jutro wieczorem na kolację. Może zechce mi pani towarzyszyć?

Blondie pokręciła głową ze smutkiem.

– Nie mogę teraz opuszczać „Pappagal”.

– Ma pani jakieś kłopoty?

– Nic poważnego, ale muszę być na miejscu.

– Mogę w czymś pomóc?

Pokręciła głową i dotknęła dłonią policzka Michaela.

– Masz własne problemy. Ludzie, których szukasz, są niebezpieczni. Zabijają bez namysłu i zaciekle bronią swoich interesów.

– Kim oni są, Blondie?

– Ciągłe się zmieniają, ale pochodzą z tego samego obszaru. Działają w południowej Europie, na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej. Słyszałam o ich organizacji, ale nie jestem pewna, czy naprawdę istnieje.

– Co to za organizacja?

– Tak zwany Niebieski Kartel.

– Coś w rodzaju mafii?

Blondie pokręciła głową.

– Są jeszcze gorsi.

Michael zakręcił winem w kieliszku.

– Gdzie mam ich szukać?

Blondie zastanawiała się przez chwilę, po czym wstała i powiedziała:

– Zaczekaj.

Wróciła po pięciu minutach z białą wizytówką. Położyła ją na stole, mówiąc:

– Jakies pół roku temu przyszedł tu pewien mężczyzna i zamówił jedną z moich dziewczyn. Wcale nie chciał z nią spać, tylko porozmawiać. Takie rzeczy się zdarzają, nawet gdy opłata wynosi trzysta dolarów. Niektórzy klienci chcą tylko opowiedzieć o swoich fantazjach albo o sobie. Ten człowiek – powiedziała, wskazując wizytówkę – zadawał pytania. Interesował go współczesny handel żywym towarem. Dziewczyna twierdziła, że był miły i sympatyczny. Podobno zbierał materiały do książki. Gdy skończyli, skierowała go do mnie. Gawędziliśmy w barze przez kilka godzin i zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Wspomniał w rozmowie o Niebieskim Kartelu. W końcu przyznał, że nie jest pisarzem. – Znów postukała palcem w wizytówkę.

tówkę. – Może ty i Creasy powinniście skontaktować się najpierw z tym człowiekiem.

Michael wziął do ręki wizytówkę i przeczytał: Jens Jensen, Policja Kryminalna (Wydział osób zaginionych), Kopenhaga, Dania.

4

Tuż po północy obudziło Michaela delikatne pukanie do drzwi. Wygramolił się z łóżka i poszedł otworzyć. W progu stał Raoul, trzymając w ręku srebrną tacę z butelką brandy Hennessy Extra i dwoma kieliszkami.

– Pomyślałem, że moglibyśmy się napić – oznajmił. – Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

Michael ziewnął i odparł z uśmiechem:

– Obudziłeś, ale napić się możemy.

Był zaskoczony, gdyż Raoul należał do ludzi małowównych, nie angażujących się w rozmowy, ani życie towarzyskie. Usiedli przy stoliku. Raoul napełnił kieliszki. Michael uważnie mu się przyglądał. Był mężczyzną po czterdziestce, obdarzonym przez naturę twarzą, która mogła budzić przerażenie u dzieci, starszych i niesfornych klientów. Pracował dla Blondie od ponad dziesięciu lat. Pełnił funkcję barmana, wykidajły, złotej rączki i dyskretnej osoby do towarzystwa. Blondie była jedyną osobą, która coś dla niego w życiu znaczyła.

– Jak się miewa Creasy? – zapytał, zagajając rozmowę.

– Całkiem nieźle – odparł Michael. – Ten chirurg jest naprawdę dobry. Wydobył z niego kupę odłamków. – Michael uśmiechnął się, dodając: – Nafaszerował go też morfiną... Creasy leży teraz w łóżku szczęśliwy jak niemowlę i waży pewnie o kilo mniej.

– Jak długo zostanie w szpitalu? – zapytał Raoul.

Michael wzruszył ramionami.

– Zdaniem lekarza dziesięć dni... Ale jak znam Creasy'ego, ucieknie stamtąd, gdy tylko będzie mógł chodzić... Myślę, że to potrwa cztery do sześciu dni,

Raoul skinął poważnie głową i powiedział:

– Więc pewnie trzeba będzie z tym poczekać kilka tygodni, dopóki nie odzyska sił.

– Z czym?

– Nie wiesz?

– Czego?

Raoul wydawał się zaskoczony.

– Wezwwała was tu Blondie, prawda?

Michael pokręcił głową.

– Wcale nie... Co się dzieje?

Raoul był zakłopotany. Potarł dłońmi policzki, westchnął ciężko i powiedział: – Blondie ma kłopoty. Myślałem, że napi-

sała list do Creasy'ego. Właściwie sam jej to proponowałem, ale najwyraźniej mnie nie posłuchała.

– Nic na ten temat nie wiem. Opowiedz mi o jej problemach.

Raoul zastanawiał się chwilę, po czym rzekł:

– Nie mamy w Belgii mafii, ale istnieje coś podobnego! Nazywamy tych ludzi *les hommes de la nuit*. Ostatnio jedna z przestępczych grup zdobyła dominującą pozycję. Nazywają ją, od nazwiska przywódcy, gangiem Lamonte'a. Zajmują się narkotykami, prostytutką, hazardem, ochroną lokali i wymuszaniem. Blondie nie ma nic wspólnego z żadnymi kryminalistami ani sutenerami. Wiesz, że dobrze traktuje swoje dziewczyny.

– Mów dalej – powiedział Michael, wyraźnie zainteresowany.

Raoul sposepniał.

– Ostatnio gang Lamonte'a próbował wymuszać haracz za ochronę od luksusowych burdeli. W Brukseli jest ich sporo. Świadczą usługi wielu urzędnikom Unii Europejskiej i biznesmenom, którzy potrzebują przychylności tych urzędników, więc często zapraszają ich do takich miejsc jak „Pappagal”. Prawie wszyscy właściciele burdeli przestraszyli się gróźb i płacą teraz haracz. Ale Blondie odmówiła.

– I co się stało?

– Ci faceci są bardzo sprytni – odparł Raoul, wzruszając ramionami. – Nie podkładają bomb ani nie podpalają lokali. Nic z tych rzeczy. Ludzie Lamonte'a czekają co noc na ulicy, grożą wychodzącym klientom, szantażują ich i – jak zwykli naganiacze – dają im wizytówki burdeli, nad którymi sprawują kontrolę.

– I co osiągnęli?

Raoul rozłożył ręce.

– Dochody spadły o połowę. Blondie brakuje pieniędzy nawet na bieżące rachunki. Płaci dziewczynom minimalne pensje z własnej kieszeni.

Michael zamyślił się i przez ponad minutę panowało milczenie. Wreszcie rzekł:

– Powinna była cię posłuchać i zawiadomić Creasy'ego.

Raoul skinął głową.

– Ale tego nie robi. Jest dumna. – Jego ciemna twarz nagle spokorniała i dodał innym już tonem: – Musisz zrozumieć, Michael, że nie chcę siedzieć bezczynnie. Blondie jest dla mnie jak matka, ale daleko mi do ciebie czy Creasy'ego. Pewnie, że wyglądam groźnie i mogę wzbudzać respekt. Noszę nawet broń – powiedział, dotykając marynarki pod pachą – ale bez amunicji. Taką mamy umowę z policją. Chodzi tylko o odstraszenie

niesfornych klientów. – Znów wzruszył ramionami. – Nie pokonam Lamonte’a ani jego żołnierzy. Musimy więc poczekać, aż Creasy wyjdzie ze szpitala... Mam nadzieję, że nie będzie za późno.

Michael pokręcił głową.

– Nie będziemy na nic czekać. Sam porozmawiam z Lamonte’em.

– Może nie powinienes – mruknął Raoul, nieco zaskoczony. Michael znów pokręcił głową.

– Zrobię to... Nie martw się, Raoul. Dam sobie radę.

Raoul spojrzał w twarz i w zimne oczy chłopaka.

– Jeśli chcesz, będę cię ubezpieczał... Wezmę naładowaną broń. Pieprzę policję.

Michael uśmiechnął się, kręcąc głową.

– Byłbym zaszczycony, gdybyś mnie ubezpieczał, ale twoje miejsce jest tutaj, przy Blondie. Masz rację, załaduj magazynek i pieprz policję.

– Więc kto cię będzie osłaniał?

– Maxie MacDonald – odparł Michael, uśmiechając się jeszcze szerzej. – Jutro jem kolację w jego bistro. Zna miasto i na pewno wie wszystko o Lamencie.

Raoul również wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tak, Maxiemu się to spodoba. Zbyt długo już próżnował. A Blondie o niczym się nie dowie?

– Właśnie. Może później, kiedy interes znowu się rozkręci, zacznie coś podejrzywać.

– Niech podejrzywa – powiedział wesoło Raoul.